

TEATR STUDIO (WARSZAWA)

BYK

Czy Warszawę zbudowali Ślązacy?

Arkadiusz Gruszczyński

Tekst ukazał się w programie do spektaklu, wydany przez Teatr Studio w Warszawie. Program jest publikacją kontekstową do spektaklu "Byk", prapremiery scenicznej monodramu Szczepana Twardocha w reżyserii Roberta Talarczyka i Szczepana Twardocha. Redakcja, pomysł programu: Szymon Adamczak

Kiedy opowiadam znajomym, że urodziłem się na Dolnym Śląsku, ci proszą, żebym powiedział coś gwarą. Kilka lat temu reagowałem irytacją, dzisiaj pytam, czy uważali na geografii. Albo odpalam Google Maps i pokazuję, że pomiędzy Katowicami a Głogowem jest 315 km, a między Berlinem a Głogowem 270 km.

Jeśli chodzi o precyzję, to wychowałem się w Jerzmanowej, w małej wsi pod Głogowem, która do 1945 roku nosiła dumną nazwę Hermsdorf. Polacy przyjechali tam po wojnie, nie licząc jednej pani, która sprzątała w pałacu bogatego grafa. Moja babcia i wiele innych babć moich rówieśników opowiadały, że w murowanych domach znalazły drewniane zabawki, nieznane na wschodzie Polski. Dzieci spod Lwowa bawiły się lalkami przerobionymi z kolby kukurydzy i pistoletami wystruganymi z gałęzi. Moi pradziadkowie ze zdziwieniem odkryli, że w domu może być toaleta. Te niemieckie domy miały przestronne kuchnie, liczne pokoje, jadalnię, pokój dzienny. Przeskok z drewnianej chaty do murowanej „rezydencji” był kulturowym szokiem i prześnioną rewolucją w wersji z Ziemi Odzyskanych. To kolejna różnica między Górnym a Dolnym Śląskiem: mamy odmienną historię. Także tożsamości lub jej braku.

W 1945 roku ludzie ze Wschodu i Polski Centralnej, Łemkowie i Żydzi musieli się dogadać, porzucili więc ojczyste języki i zaczęli mówić po polsku. Mieszkańcy tych ziem – dodajmy, że piastowskich – do dzisiaj nie opracowali regionalnej kuchni, tradycji, nie ma tam nic, co wychodziłoby poza ramy wyobrażonej Polski. Pierogi i rosół, wigilijny karp i mielone, kompot do obiadu i kiełbasa z grillu. To nie Górny Śląsk z niepodrabialnym jedzeniem: kluskami, roladami i modrą kapustą.

W moim rodzinnym świecie nie ma też grobów, bo moi przodkowie umarli gdzieś indziej. To kraina, która w punkcie zero musiała się wymyślić na nowo.

250 MLN ZŁOTYCH ZE ŚLĄSKA

Kiedy 13 lat temu przyjechałem do Warszawy, czyli 480 km od domu, nie znałem tu nikogo. Nie tęskniłem za rodziną, bo chciałem się usamodzielnić, szybko znalazłem przyjaciół, chodziłem na studia i pracowałem. Dziwiło mnie, że tak wielu ludzi „zaciąga”, je na kolację dziwaczne potrawy, szuka „ziomków” z rodzinnych stron. Tak bardzo tęsknili, że musieli zbudować sobie mały Śląsk, małe Kaszuby, mały Poznań w Warszawie.

Szukam więc śladów Śląska w stolicy. W Alejach Ujazdowskich do Ignacego Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego w 2019 roku dołączył kolejny ojciec polskiej niepodległości, czyli Wojciech Korfanty (a gdzie są matki?). Podobizna śląskiego polityka opiera

się o betonowy kloc, na którym widnieje hasło: „polityk, chrześcijański demokrat”. Na pomnik, jak się dowiaduję, zrzuciły się śląskie miasta. Historię piszą zwycięzcy, cokoły stawiają wygrani. Jeśli przyjąć, że powstanie śląskie, na czele którego stał Korfanty, było wojną hybrydową wywołaną przez Polaków po przegranym plebiscycie, to jego pomnik w Warszawie wpisuje się w polskie imaginarium o polskości ziem. Prawda jest banalnieszka: bogaty Śląsk ze złożami węgla był łakomym kąskiem dla młodego państwa.

Idźmy dalej. W „białym domu”, czyli siedzibie KC PZPR, do dzisiaj można zobaczyć gabinet Edwarda Gierka. Kolejny pierwszy sekretarz nie zajmował biura poprzednika, może ze względu na szacunek, a może z przesądu. Toczą się spory, czy Gierka można uznać za Ślązaka, ale to temat na inną opowieść. Po sąsiedzku w Muzeum Narodowym w Galerii Sztuki Średniowiecznej jest sporo dzieł ze Śląska. Jak się tam znalazły? Zrabowano je? Tomasz Fudala z Muzeum Sztuki Nowoczesnej opowiada mi, że w kościele na placu Grzybowski wisi aż osiem obrazów Michaela Willmanna, jednego z najwybitniejszych malarzy śląskich. Wyobrażam sobie, że po uzyskaniu autonomii przez Śląsk Polska odda te dzieła sztuki, tak jak teraz Francuzi zwracają obrazy wywiezione z kolonii.

Na Powiślu od czasów przedwojennych mamy ulicę Górnośląską, która od 1770 roku nosiła nazwę Górna. Na Bemowie mamy od 1954 roku ulicę Powstańców Śląskich, której północny odcinek został poprowadzony po dawnym pasie startowym lotniska. W okolicy własną ulicę mają Piastowie Śląscy, kojarzeni raczej z Dolnym, a nie Górnym Śląskiem. Na Ochocie przez jakiś czas działało Królestwo, czyli filia znanej knajpy z Katowic. Nie przyjęło się, bo syte, warszawskie mieszczaństwo nie akceptuje głośnych imprez do rana i tostów na obiad. Codziennie blisko 30 tysięcy aut przejeżdża przez most Śląsko-Dąbrowski, który zastąpił w tym samym miejscu most Kierbedzia. Konstrukcje stalowe zostały wykonane przez Hutę Zabrze i Zakłady Produkcji Konstrukcji Stalowych w Chorzowie, a przeprawę sfinansowali mieszkańcy i mieszkanki Śląska, zbierając w ciągu roku 250 mln złotych.

CZY ŚLĄZACY MÓWIĄ PO POLSKU?

Ze Śląska do Warszawy w 2022 roku przeniosła się Galeria Szara, prezentująca sztukę współczesną. Galerzyści z całej Polski przyjeżdżają do stolicy, bo tutaj żyją bogaci ludzie, którzy mogą zainwestować w młode malarstwo, tutaj jest nienasycona widownia, tutaj są media i kuratorzy.

W Szarej pracuje **Paweł Świerczek**, który przeprowadził się do Warszawy kilka lat temu. Ma w rodzinie wujka, który był raz w stolicy jako młody chłopak i został wyśmiany za godzenie po śląsku. Nigdy tu nie wrócił. Kiedy rodzina Pawła dowiedziała się, że zamierza zamieszkać w Warszawie, próbowała go zniechęcić. „Całe życie słyszałem, że Polska to kraj, który zabiera bogactwo regionu, wykorzystuje nas. Powszechnie uważa się, że Górny Śląsk sfinansował odbudowę Warszawy. I teraz chcę tam mieszkać? Rodzina nie rozumiała, że wyjeżdżam daleko i nie będę już tak często odwiedzał domu” – mówi.

Świerczek przyjechał do Warszawy, bo Katowice stały się za małe, chciał obcować z rzeczami, które go interesują. Pracował w Muzeum Śląskim, był dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, wciąż współtworzy queerowy kolektyw Śląsk Przeglęty, który założył tuż przed wyprowadzką do Warszawy. Tutaj może chodzić do progresywnych teatrów, pracować z ciałem, brać udział w warsztatach improwizacji kontaktowej. Na Śląsku mu tego brakowało, miał poczucie, że dużo

go omija. „W Katowicach mamy jedno miejsce, w którym organizujemy »przeięte« imprezy, nie ma alternatywy. Po wyprowadzce Szarej w Katowicach nie ma chyba ani jednej prywatnej galerii sztuki, na całym Górnym Śląsku jest jeden klub taneczny dla osób LGBT. Nie wiem, jak przełamać ten impas” – mówi.

Opowiada, że nauczył się języka polskiego dopiero w szkole, w jego domu godo się wyłącznie po śląsku. Świerczkowie mieszkają tam od zawsze, w lokalnych kronikach z XVII wieku pojawia się ich nazwisko. Pochodzi z rodziny górniczej, w której śląskość nie poddaje się refleksji, jest czymś codziennym, przezroczystym. „Jest dla mnie interseksjonalna. Uwiera mnie, że w mainstreamowych dyskusjach jest zrównywana z narodowością. Publicyści przedstawiają trzy opcje: Śląsk jest polski, niemiecki albo autonomiczny. Nie zwraca się uwagi na przykład na różnice między Śląskiem miejskim a wiejskim, co według mnie jest kluczowe dla jego zrozumienia” – mówi Świerczek. Mój rozmówca zwraca uwagę, że jest podejrzliwy wobec idei narodu. Uważa, że historycznie jest względnie nowa i wcale nie kluczowa dla zrozumienia i przeżywania śląskości. „Nie czuję się Polakiem, jestem związany ze Śląskiem i życzyłbym sobie kraju pielęgnującego różnorodność regionów” – opowiada.

Trudno mu mówić o jednej śląskości. Wychował się w Lubomi, czyli na wsi, dlatego życie przy kopalni jest dla niego czymś obcym. Jego ojciec dojeżdżał do pracy przez godzinę. Uważa, że niewiele go łączy z ludźmi mieszkającymi w Gliwicach czy Zabrze. „Inną sprawą jest różnorodność etniczna. Mamy przecież na Śląsku rodziny pochodzenia czeskiego czy żydowskiego. Co z wpływami węgierskimi czy austriackimi, o których mało kto pamięta? To przemieszanie jest wpisane w śląskość, co sprawia, że Górny Śląsk jest na swój sposób queerowy” – opowiada. Śląskość jest dla niego rozmywaniem granic i upłynnianiem kategorii tożsamościowych, nie tylko tych związanych z narodowością.

„Ślązaków ciągnie do siebie”, mówi Świerczek. „Kiedy mieszkałem w Londynie, unikałem Polaków, chciałem żyć w innych społecznościach. A tutaj jest inaczej, utrzymuje się te znajomości. Śląskość można zobaczyć w pełnej okazałości dopiero, jak się stamtąd wyjedzie. Dopiero wtedy widzi się naszą odmienność” – opowiada Świerczek. Ta inność to przede wszystkim język. Paweł myśli i liczy po śląsku. Kiedy jedzie do domu, automatycznie przestawia się na ojczysty język, a po powrocie do Warszawy musi kilka dni czy nawet tygodni przypominać sobie polski. „Nauczyłem się, żeby nie mylić kołacza z kołoczem, którego w Warszawie nie można dostać. Nie jestem zbyt religijny, dwa lata temu spędziłem wigilię w stolicy, nie pojechałem do rodziny. I przyznam, że brakowało mi śląskiego jedzenia, chociażby zupy grochowej, którą się je w mojej wsi. Czy moczki, rozgotowanego piernika z bakaliami” – mówi.

ŚLĄSKOŚCI NAUCZYŁAM SIĘ W SZKOLE

O jedzeniu sporo ostatnio myśli **Agnieszka Łabuszewska**, właścicielka kawiarni i restauracji Kulturalna w Pałacu Kultury i Nauki. W trakcie pandemii wprowadziła do menu kluski śląskie i zatrudniła szefową kuchni, która urodziła się w Katowicach. „Okazało się, że w Kulturalnej pracują cztery osoby ze Śląska, bo mój specjalista od PR też jest stamtąd, tak samo jak ja i moja siostra” – opowiada Łabuszewska. Lubią sobie pogodoć, czują się dobrze w tym języku, budując mikrowspólnotę.

Nie jest typową Ślązaczką. Jej rodzice krytycznie wypowiadali się o Śląsku, przyjechali tam za pracą, ale nigdy nie nauczyli się języka, którym – według ich słów – mówiła klasa robotnicza. A oni aspirowali do inteligencji pracującej. Agnieszka w szkole zaprzyjaźniła się z ludźmi, dla których gwara była czymś naturalnym. Zaczęła poznawać język, zwyczaje, przesiąkała śląskością, uczyła się jeść modrą kapustę, białe i szare kluski, rolady. „Zazdrościłam Ślązakom, bo mieli dostęp do »sklepów na g«, czyli górniczych peweksów, dziewczynki bawiły się lepszymi zabawkami, były lepiej ubrane. Lubiłam śląskie matki moich rówieśników – silne, dobrze zorganizowane, bezpośrednie, duże kobiety, które roztaczały wokół siebie wiele ciepła” – wspomina. Mówiąc inaczej: Agnieszka Łabuszewska chciała należeć do klasy, która dla jej rodziny była czymś gorszym. Zamiast awansu – deklasacja.

Łabuszewska stawia śląską tożsamość daleko za feminizmem, macierzyństwem czy siostrzeństwem. „Być może wzięłam ją, ponieważ w pewnym momencie nie miałam żadnej tożsamości, nigdzie nie należałam. Ojciec jest z Kielecczyny, matka z Podkarpacia, a ja mieszkam w Warszawie. Brakuje mi niedzielnych obiadów z dużą rodziną, jestem samotna rodzinnie, chciałabym mieć wokół siebie więcej pokoleń” – opowiada. Ciągłe układa skomplikowaną, rodzinną mozaikę. Ostatnio pożegnała się przed śmiercią z siostrą z pierwszego małżeństwa ojca. Była Ślązaczką z krwi i kości.

Widzi jednak słabsze strony Śląska: hermetyczność, całkowite zamknięcie wewnątrz rodziny, które nie pozwala na autentyczne pokazanie siebie na zewnątrz, często bezkrytyczny katolicyzm czy konserwatywne zwyczaje. To wszystko nie pasuje Agnieszce do wizerunku nowoczesnej, świadomej kobiety. „Nie jestem w stanie porozumieć się ze śląską częścią mojej rodziny, ponieważ nie żyję tak, jak nakazują Bóg, honor i ojczyzna, bo wybieram humanizm, feminizm, ekologię i samorozwój” – mówi Łabuszewska.

Jednak kilka lat temu chciała zorganizować wielką ucztę z muzyką graną na żywo przez orkiestrę górniczą. Ze śląskim jedzeniem na stołach. Do stołu mógłby podejść każdy, pobyć wspólnie w kwintesencji Śląska. Może uda się po pandemii?

CHCIAŁABYM WRÓCIĆ NA ŚLĄSK

W Warszawie od 18 lat mieszka **Magdalena Kamińska**, producentka filmowa. Jej rodzina od strony mamy pochodzi ze Lwowa, do Katowic przyjechała do wojnie, prowadziła zakład fotograficzny. Jeden z dziadków Kamińskiej urodził się w Opolu. „W jego domu było trzech braci. Dwóch chciało zostać w Polsce, jeden w Niemczech” – wspomina. Od strony ojca dziadek urodził się w Wilnie, a babcia w Zagłębiu. Tato Kamińskiej jest inżynierem górniczym, cała jej rodzina mieszka na Śląsku, brat w Bytomiu, a mama płynnie mówi po śląsku, nauczyła się go na placu od dzieci. „Tylko ja wyrwałam się do Warszawy, bo tutaj jest skupione całe środowisko filmowe” – przyznaje.

Skoro jesteśmy przy filmie, to zaczynamy się zastanawiać, jak o Śląsku opowiada się w polskim kinie. „Dla mnie kultowy i można powiedzieć współczesny film o Śląsku to Angelus” – mówi Kamińska. Od wielu lat myśli o projekcie filmowym o rodzinnych stronach. Może o muzyce i słynnych festiwalach?

Bo ze Śląskiem Warszawiacy mają problem i może dlatego skupiony tutaj przemysł filmowy nie chce inwestować w produkcję o Katowicach. Część z nas myśli stereotypami o brudnym śniegu, kopalniach, zanieczyszczonym powietrzu. „A mam wrażenie, że przez ostatnie lata

Katowice zmieniły się nie do poznania. W kopalni mało kto pracuje, w porównaniu do czasów powojennych. Okazało się, że mamy świetnych architektów, dizajnerów, dbamy o jakość graficzną. Tam buzuje coś nowoczesnego” – mówi Magda.

Kamińska opowiada, że w każdej chwili mogłaby wrócić na Śląsk. Według niej w Katowicach panuje większa życzliwość niż w Warszawie, nie ma zadęcia. W sklepie można porozmawiać z ludźmi, kontakty są prostolinijne, przyjemne, nasączone humorem. Opowiada, że przemycła do codziennego języka śląski zaśpiew. „Lubię pracować ze Ślązaczkami, bo są robotne. Szybko się wyczuwamy, nie rozwodzimy się nad sprawami, tylko działamy, co jest potrzebne na planie filmowym. Mój chłopak mówi, że jak gonię go do roboty, to wychodzi ze mnie Ślązaczka” – śmieje się.

ŚLĄSK JAKO DODATEK DO POLSKI

Laura Pawela, artystka sztuk wizualnych, ferie zimowe spędziła na Śląsku. Pojechała, po lekturze Kajś Zbigniewa Rokity, do Rydułtów, gdzie się urodziła. „Nie wiem w sumie, czego tam szukałam. Zobaczyłam górnicze miasto, jak to bywa na Śląsku. Trochę jeszcze brudne, choć częściowo już odremontowane za unijne pieniądze” – przyznaje.

Wychowała się w Rybniku. W spisie powszechnym wszyscy zaznaczają narodowość śląską. „Zapytałam ostatnio mamę, czym jest dla niej śląskość. Odpowiedziała, że głęboko skrywanym wstydem przekazywanym z pokolenia na pokolenie, poczuciem niższości” – opowiada Pawela. Ślązacy według niej wszędzie czują się trochę gorzej, głównie za sprawą języka, który Polakom wydaje się śmieszny. „Jak żech pojechała do tyj Warszawy, to żech sie tam fest źle czuła, bo jo je ze Śłońska, co oni se tam ło mje pomysłom, dyć słyhać, że jo godom, że mom inkszy akcent” – przywołuje powszechną opinię o śląskiej obcości. Pytam, czy też tak miała po przeprowadzce do stolicy. „Nie, ponieważ wcześniej studiowałam w Opolu i we Wrocławiu, szybko pozbyłam się akcentu. Zresztą rodzice wychowywali mnie w języku polskim, a postugiwanie się śląskim w szkole było źle widziane” – odpowiada Laura.

Wyjeżdżając na studia, miała poczucie, że wyjeżdża do lepszego świata. Wstydziła się Śląska, nie czuła się z nim związana, chciała się go pozbyć. Dopiero po wielu latach zdała sobie sprawę, że to nie powód do wstydu. Wręcz przeciwnie. Zaczęła coraz częściej tam bywać, robić prace o Śląsku, czytać książki. Miała też stworzyć dokument o niepowstałym filmie Kazimierza Kutza Różowy Horyzont. Dzięki rozmowom z reżyserem zrozumiała, czym jest śląska tożsamość. „Pogodziłam się z nią. Polubiłam. Zaczęłam jeździć na Śląsk, odświeżyłam sobie ślonsko godka, której teraz chętnie używam, będąc na Śląsku. Przestałam blokować w sobie Ślązaczkę” – mówi Pawela.

Polska silna tożsamość ma tendencje do kolonizowania innych. To stało się ze Śląskiem, a wcześniej próbowano to zrobić z Ukrainą. Swoją drogą czekam na prace naukowe, które metodami postkolonialnymi zajęłyby się zarówno Górnym Śląskiem, jak i niechlubnym okresem skolonizowania Ukrainy przed 1939 rokiem. „To pewnego rodzaju odrębność, różnimy się od Polaków, ale po co stawiać te granice między nami? Weźmy moją rodzinę: pradziadek walczył w powstaniach śląskich, z czego był dumny do końca życia. Podczas II wojny światowej jeden dziadek był u Andersa, a drugi w Wehrmachcie. Do dzisiaj nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś kazał się opowiedzieć Ślązakom, czy czują się bardziej Niemcami czy Polakami. Ta polaryzacja i podział pokutowały przez dziesięciolecia” – opowiada.

Uważa jednak, że dzisiaj Śląsk mógłby być niezależny. „Tylko nie wiem, jak mogłoby to wyglądać, skoro Ruch Autonomii Śląska podupadł, młodzi rzadko godają po śląsku, czym miałby być ten odrębny Śląsk? Czy naród może istnieć bez języka? Podczas mojego ostatniego pobytu na Śląsku usłyszałam wiele głosów o budującej się tożsamości śląskiej, już bez elementu wstydu. Coraz więcej osób przyjeżdża na Śląsk i co ciekawe, część z nich przyjmuje śląską tożsamość” – mówi Laura Paweła. Z drugiej strony obserwujemy modę na Śląsk: koszulki, przypinki, biżuterię czy mydło z węgla. „Przez to Śląsk stał się jeszcze bardziej śmieszny. Bo czym są tłumaczenia plakatów filmów amerykańskich na śląski albo tiszerty ze śmiesznie brzmiącymi poza Śląskiem hasłami? To memy, które nam nie pomagają” – tłumaczy. Według niej Śląsk należy traktować tak, jak każdy inny rejon Polski, badać jego historię, odkrywać bohaterów, nie tylko tych międzywojennych. „Ta oddolna praca sprawi, że przestaniemy być dupowaci i zaczniemy siebie szanować. Nie możemy być śmiesznym, gorszym dodatkiem do Polski” – mówi Paweła i brzmi wtedy jak Kutz.

Jej 8-letnia córka uwielbia Śląsk, jego zapachy, język, rodzinę. Lubi tam jeździć. „Uczymy ją śląskiego, kupujemy zabawki i gry po śląsku, ale jak zaczynam godać, to mówi mi: mamo, nie mów tym językiem, bo się od razu zmieniasz” – śmieje się Paweła.

--

Wszyscy moi rozmówcy mówili, że Warszawę po wojnie odbudowali Ślązacy, którzy dostarczali do stolicy cegły, stal i siłę roboczą. To ich mit, mit skrzywdzenia. Problem w tym, że na Warszawę zrzucili się wówczas wszyscy. I chyba dlatego tak bardzo nie lubią nas w Polsce.

Każda i każdy z nich inaczej rozumie śląskość. To część ich rodzinnej tożsamości, przez pewien czas wypieranej lub wręcz przeciwnie – afirmowanej. Inni przyjmują Śląsk i jego tradycje, dodają do swojej biografii, stają się jego częścią. Są też tacy, którzy nie pojawiają się w tym tekście. Chcą autonomii, odcięcia od Polski, budowy niezależnego państwa, z suwerenną władzą, walutą, językiem urzędowym. Śląska tożsamość mieści ich wszystkich, co jest fascynujące i antynacjonalistyczne. Tak samo ma Warszawa: każdy może w niej być sobą. Dziewczyna urodzona na Górnym Śląsku i chłopak z Jerzmanowej.

A ja nieraz żałuję, że nie mogę czegoś powiedzieć po śląsku. Może wtedy czułbym się częścią jakiejś wspólnoty.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI - dziennikarz i animator kultury.